

OPOWIASTKA O PIYKNY STAZYJCE, WSTYDLIWYM SIODŁOKU ADAMIE I SZPRYTNY WADOWIE WAJDZINIE

Stazyjka łód Czuprynki była bardzo szumnom dziółchą. Lica to miała czerwone jak krew, a po cały gębie była bielutko i gładko, choć żodnych maści i pudru wcale nie znała. Dwa piykne i długie jasne warkocze aże ji do półrzytków sięgały, kiere tyż były jak się patrzy. W każdó niedziela szła na „wielkie” do naszego parafialnego kościoła, kiery Jeszcze w ten czas był z drzewa.

Na nabożeństwo do Bogucic zjyżdżali się ludzie ze wszystkich stron, hajn z daleka, aże łód Murcek, Tychów, Pietrowic, Siemianowic i Przelajki, z Dąbrówki, Borków, Piesków i Bagna, bo wtedy na Śląsku nie było jeszcze tyła kościołów, co dzisiaj.

Ci lepsi przyjyżdżali na landałerach, bryczkach, zansznajdrach, półkoszkach i drabiniokach, a biydoki, bo tych to była zawsze kupa, deptali na piechty. Przylazywało tyż dużo dziadów, żeby rzykać pod kościołem, byli to ludzie zza wody, łód Brynicy i Przemszy. Biydne, że aż litość brała jak się na nich patrzyło. Wszyjscy byli podziubani na gębach, po tym było poznać, że to nie nasi ludzie, ale pogodać to się z nimi szło, a rzykać rzykali tak jak my ino trocha inaczy śpiewali.

Na każdym nabożeństwie było dużo statecznych karlusów, kierzy chcieli namówić se jako dziółcha, bo tych to było sporo, a same urodziwe i fajństwo łobleczone w jedwabne kiecki, aksamitne lajbiki i wyszywane jakie, a każdó na karku nosiła piykne czerwone korole ze złotym krzyżykiem abo żółte paciorki z jantara, inaczy na to godajom bursztajn.

W czasie mszy święty to te dziółchy, zamiast rzykać, świdrzyły ino łoczami za chopcami, kiery gryfniejszy, kiery fajni łobleczone, czy już zapuszczę wąs abo bródka.

Karlusy robiły to samo i taksowały dziółchy wiewa wlawło. A jak się ino suma skończyła, wszystko wylazło przed kościół. Porobiły się małe kupki i jedni taksowali drugich, starsze baby klachały, dziółchy się chichrały, a chopcy patrzyły ino na nie, kiero jest gryfniejszo po gębie, kiero mo większe cycki i bogatsze łobleczenie, bo były tyż tam biydniejsze dziółchy, kierych łojcowie za zwyczajnych chałupników byli abo robili na „pańskim”, te dziółchy były łobleczone biydnie, ale czysto.

Powolutku wszystkie kupki zaczęły się rozchodzić w roztomajte strony, jedni śli do dom, drugie poszpacirować po wsi, a trzecie, przeważnie chopcy, pošli do „żyda” na jednego.

Nasza Stazyjka razem z Waleską łód Strużynki i Teklą łód Koniarczyny chyciły się pod paże i szpacirowały po drodze tam i nazod, bo musicie wiedzieć, że wtedy jeszcze u nos tretularów nie było.

Na rogu, przy kościele, kaj miyszkoł wójt, stoło łopartych łó mur, trzech statecznych, ale festelnych karlusów, gospodarskich synów, kierych łojcowie byli bogatymi siodłokami. Wysztafirowani jak mało fto, łobleczeni w modre kaftany z czerwonym łobszyciem i żółte galoty wpuszczone w cholewy wysokich botów ze strzybnymi klamerkami na poskach, czornych, szyrokich kapeluszach na gowach i słabymi wąsikami pod nosem, łakomie strzygli łoczami za trzema szpacerującymi dziółchami.

— Kiero byś wziął? — łodezwoł się wyzgerny Zefel Chrząszcz i sztuchnął łokciem Adama łód Posza, kiery był bardzo wstydlivy wobec dziółchów, choć już miał pięć dwadzieścia lot.

— Stazyjka — łodpedzioł i zaroz spuścił gowa, ale nie zapomniół się łoblizać. — Dziółcha jak trza, żodnych felerów ni mo.

— Mosz recht! — łodpedzioł Paulek Broda, co jego łojcowie na Zapociu piykne gospodarstwo mieli. — Jak chesz jom mieć, to idź do Wajdziny, co na Drajoku nad Rozdzionką miyszko, łona ci poradzi i tak pocałbuje, że bydziesz miał Stazyjka.

— Godosz, że to prowda? — zapytoł Adam.

— Ja, prowda godom. — Łona, ta Wajdzino, zno się na roz-toraajtych zakłęcjach, umiy przepowiadać z wody, z wiatru, z fusów łód kawy, bardzo dużo rzeczy umiy. Kupa ludzi już pożeniła, ino łona jest drogo, koże se dobrze płacić.

— Nie szkodzi, jo biydny nie jest. Jutro póda do ty Wajdziny — łodpedzioł Adam i dali łakomie łogładoł się za dziółchami.

— Ciśniemy ku nim? — spytoł się Zeflik i wyłozil na droga. Dziółchy spomiarkowały, że som taksowane i że chopcy chcą je przygodać, więc szprytno Tekla podziała po cichu.

— Dziółchy. Cycki sztram, bo chopcy idom!

Wszystkie trzy jak na komenda zrobiły się trocha sztafjne i te ich babskie skarby, kiere miały pod lajbikami, urosły jak nadmuchane, że łó mało lajbiki nie popękały.

— Kiery ci się nojlepi widzi? — spytała Waleska i łokciem sztuchła Stazyjka.

— Adam — łodpedziała i zawstydziła się trocha.

— Gryfny to łon nie jest, trocha ciuémowaty i za wstydlivy — pedziała ji na to Waleska.

— Ale za to mo morgów kupa — dociepla Tekla. — Pra Stazyjko?

Stazyjka ino kiwła. gową i westchła cichu.

— Chciałaś by go za chopa, Stazyjko? — pytała dali Tekla.

— Toć, bo łon jest bardzo stateczny — łodpedziała Stazyjka.

— Jo ci poradzą, co mosz zrobić. — Idź jutro, abo jeszcze dzisiaj po nieszporach do Wajdziny, co na

Drajoku miyszko i powiydz ji ło wszystkim, łona ci poradzi i poczaruje tak, że Adam na pewno bydzie za twojego chopa.

— Godosz, że łona umie czarować? — z niedowierzaniem spytała Stazyjka.

No toć, że umie. Dużo ludzi już pożeniła, każdy śnik umie przetłomaczyć, każdy choroba -wytyczyć i to ino zielem, kadzeniem i tyż zaklinaniem.

— Spróbujam — łodpowiedziała Stazyjka.

Wajdzino już pięć roków była za wdowa. Miyszkała nad Rozdzionką na Drajoku przy samy szosyji, co na Pszczyna ciągnie. Jej nieboszczyk chop nie był tutejszy, był rodem z Kongresówki z Wileński Gubernii. Znojd się tu u nos na Śląsku skiż tego, że musioł uciekać za granica przed Moskalami, kierzy go chcieli capnąć, bo broł udział w powstaniu w 1830 roku. Tukej się łożenił i erbnał piykno robota za gojnego w janowskich lasach grafa Mieroszewskiego.

Ten Wajda był bardzo charakterny, bo przeca z polski szlachty się wywodził, a w dodatku był bardzo sumienny i uczciwy.

Nie lubioł złodziejów i inkszych lomków i chacharów. kierych już wtedy pełno było na naszym Śląsku, bo ze wszystkich stron nalazło tego za tyła; przylazywało tu i łod Rusa, łod Prusoka i Cysaroka.

Jednego dnia ten Wajda napotkoł w lesie rabsików, kierzy kradli drzewo. Chcioł ich wszystkich pochytać i łodstawić do zamku, ale nie doł rady, bo jeden z rabsików postrzełił go w brzuch śrutym ze solą i tak zostawił go w lesie, a som uciekł na Cmok.

Ranny Wajda dowlókkł się do zamku i tam dopiYRO zemdlół. Długo się męczył, chyba ze dwa roki, aż umarł.

Jego baba i syn, kiery mioł już jeden dwadzieścia lot, wynieśli się z Janowa i zostali tukej na Drajoku, wystawili mało chałpa i tak jakoś żyli. Wajdzino została zielarką, bo już łod downa znała się na tym i po łoju, kiery był za łowczorza, erbła dużo roztomajtych wiadomości ło chorobach i ich lyczeniu.

Jej syn wynioł się z chałpy i wyjechał do Kongresówki, by dochodzić przed sądem majątku, kiery zostół po jego łoju. Jak wyjechał, to się już więcy nie pokozoł, może kaj przepodł.

Wajdzino została sama we swoji chałpce i tam jakoś żyła.

Stazyjka jeszcze przed nieszporami na szago, przez Koniarkowe pole poleciała na Drajok, aby jak nojprędzy zakłupać do dźwierzy chałupki, kaj miyszkała Wajdzino.

— Dobre polednie — pedziała i wlażła do izby.

— Dobre polednie! — łodpedziała Wajdzino i wstała z ryczki. — Na pewno w sercowych kłopotach tu przyszaś, Stazyjko?

— Zgadli łońi, chciałach się wos poradzić, Wajdzino. Łobydwie siadły na ławie. Stazyjka nerwowo szkubała koniec swojego warkocza i nie wiedziała jak zacząć godać, a Wajdzino ino patrzyła na nią spod łoła.

— Ło wydaniu myślisz, prawda? — zagodała Wajdzino.

— Ja — łodpedziała cicho Stazyjka.

— Za kogo to chcesz się wydać?

— Za Adama łod Posia.

— Wszystko do się zrobić, ino to bydzie dużo kosztować — łodpedziała Wajdzino i zajrzała do łoóczów Stazyjce.

— Wiela?

— Widzisz dziółcha, jeden font zdrowego i statecznago karlusa kosztuje u mię dwa talary, ale ciebie dziółcho trocha łoopuszcza. Dej mi ta wielko morga dobrego grontu, kajby pszenica rodić mogła, do tego jedna krowa, dwie jałowice, dwa wieprzki i pięć łowieczek. Jak mi to dosz, to już w tydniu możesz dować na zapowiedzi.

— Choć jo jest w doma za jedynoczka, alech nie jest jeszcze wywianowano, dopiYRO po weselu dostana mój erb — łodpedziała Stazyjka, cało czerwono z radości.

— Zgoda, to mi dosz po ślubie, ale dzisiaj musisz mi podpisać te dokumenta i przysięgnąć, że wszystko łoddosz jak się noleży.

— Przysięgom na wszystkich świętych, a w szczególności na moja patronka święto Anastazyjo, że zgodnie z przyrzeczeniem łoddom wszystko — łodpedziała Stazyjka i na kartce papieru podpisała się swoim chrzestnym i familijnym mianem.

— Amenti — łodpedziała Wajdzino i schowała papiór do komody.

— Jutro rano przyłyż jeszcze do mię, to ci wszystko powiem, co mosz dali robić — powiedziała jeszcze Wajdzino i na łodchodne dała dziółsze trocha suchego ziela i kozoła zaszyć to w lajbiku, zaroz przy sercu.

Rozpromieniono ze szczęścia Stazyjka piyknie podziękowała Wajdzinie i poleciała do dom, a Wajdzino zaroz się zaczęła łoiblykać w niedzielne łoobleczenie, do trawnice nakładła roztomajtego ziela i poszła na wieś. Poszła do Adama Posia, kiery po łojcach piykno gospodarka erbnał.

Adam jak ino łołbejrzoł fto do niego ciśnie, zaroz wylecioł na dwór.

— Pierzyna kandelog Wajdzino! Jo prawie ło łońych myśloł, bo chciołech do łońych iść i ło porada prosić, a łońi sami przyleżii.

— Jo wiem, fto mi potrzebuje, synku, dej ręka to ci wszystko powiem.

Adam wyciągnął swoją ręką i czekał, co mu też takiego ciekawego powie.

— Piykno dziółcha za tobą czeko, bardzo piykno i do tego bogato i stateczno!

— Stazyjka!? — wyrwało się Adamowi z gęby.

— Szczęście cię wielkie czeko i festelne miłowanie. Nie śmiysz dopuścić do tego, aby łone uciekło łod ciebie, bo szczęście nigdy nie wroco! — zaczęła godać Wajdzino i spod łoczów taksowała Adama, kiery zaroz zblodł.

— Jezyrynył Co robić, aby nie uciekło?

— To ino jo moga zrobić, żoden więcy — łodpedziała Wajdzino. — Wiem, że przajesz Stazyjce i chciółbyś jom mieć za swoja niewiasta, ale to dużo kosztuje.

— Wielą? — zapytał Adam.

— Piykne i stateczne dziółchy poszły w góra. Kosztujom dużo więcy jak downi. Jeden font zdrowy, robotny i szumny dziółchy mo się kole trzech talarów i więcy, ale że ciebie znom łod dziecka, łopuszcza ci trocha. Dej dwie morgi dobrego grontu, jednego konia, jedna krowa, pięć wieprzków i jedna maciora, do tego jeszcze kopiasty drabiniok siana, drabiniok słomy, dwie pełne półkoszki kartofli, pięć korców żyta i tyła samo pszenicy.

— Dom! Wszystko dom! A kiedy Stazyjka bydzie moja?

— Jak chcesz, to możesz już po niedzieli nieść na zapowiedzi, ale piyrwy musisz zrobić jeszcze jedna rzecz — pedziała Wajdzino z dobrotliwą miną i wyjmła z kapsy poskładany papiór.

— Jako to rzecz? — spytał Adam.

— Podpisać ten papierek i przysięgnąć, że dostana to wszystko, co jest tu wymienione. Dobrze?

— Dobrze — łodpedzioł Adam i przysięgnął, a potem podpisał papiór, kiery zaroz Wajdzino nazod schowała do kapsy.

— Teroz nastow uszy i słuchej, co ci powiem — łodezwała się po chwili Wajdzino, ale już tajemniczym szeptem.

— Słuchom?

— Za dwa dni bydzie pełny miesiącek, ty wtedy weźniesz ziele, kiere ci zaroz dom — przy tych słowach wyciągła z trownicy roztomajte ziele jak nasiężniołek, lubczyk, kiery wonio jak zeler, dziewięciornik, abo jak inki go nazywajom nojnziger, dziko paproć, miłosne róża, szarłatek i liście łopianu. Wszystko związała w festelny bukiet, kiery był podobny do miotły.

— Mosz Adamie! Ło północce, jak ino zwon z naszy zwonnice piźnie dwanoście razy, weźniesz te ziele i pódziesz na Srokowizna, do laska, co do stary Wróbliny noleży, tam w samym postrzodku, na takim małym rozwidleniu rośnie wielko choina, do kiery idzie wąsko ściyżka wydeptano przez ludzi i gowiedź, wiedzie łona łod Srokowca ku stawom łod starego Sojki, tam staniesz w krzokach i zbleczesz się z łobleczenio, tak ganc do naga, potem weźniesz w ręce to ziele i bydziesz czekał na hukanie sowy, wtedy schylisz się, wleziesz na ściyżka i pódziesz piętami naprzód, cały czas pochylony i bydziesz zamiatoł ta ściyżka i nikaj się nie rozglądoł choćbyś nie wiem co usłyszoł.

Adam słuchoł z łotwartom gębą, aby wszystko dobrze spamiętać.

— Spokopileś wszystko? — spytała Wajdzino.

— Ja!

— Pamiętej jeszcze, że przez czas jak wleziesz na ta ściyżka, musisz myśleć ło ty twoji wybrany dziółsze, a stanąć i wyprostować się możesz dopiyo wtedy, jak rąbniesz twoim zadkiem ło coś miękiego.

— Pierona kandego! — a co to bydzie te miękie?

— Dowiysz się na łostatku, ino musisz wszystko spamiętać com ci przekoziała.

Tymi słowami Wajdzino pożegnała spragnionego Adama i poszła nazod do swoji chałpy, kaj już czekały na nią śtyry gspodynie z koszykami w rękach.

— Co byście rade, babeczki? — spytała Wajdzino.

— Chcemy byście nom nasze śniki przetłomaczyli — łodezwała się rubo Sztomplino, co na trzydzieści morgach gospodarzyła.

— A co wom się takiego plytło?

— Ino ło psach i to przez calutko noc.

— To niedobrze. Jak żeście widzieli psa, co gibko uciekoł abo wos gonił, to na trwoga przed nieprzyjocielem. Jak żeście wyjącego psa widzieli i słyszeli, to na wielkie zmartwienie.

— Jo cały czas gloskała psa — powiedziała Sztomplino.

— To co inkszego. To łoznacza, że przeblógocie waszego wroga.

— Jezurynył — Wy zamiast mię pocieszać toście mi porzomnego klina do gowy wbili — łodpedziała Sztomplino i zaczęła wyciągać z koszyka jajca, kiere wolno wkładała w rozwarty fartuch Wajdziny.

— Wielą tego mo być? — spytała trzymając jajco w ręce.

— Tak jak zawsze. Jeden mendel — łodpedziała Wajdzino, potem zagodała do drugi baby. — A wy jakiście mieli śnik, Grządzielko?

— Mię się dycki ino ło wodzie śni — łodpedziała młodo jeszcze gospodyni.

— Rozumia — łodpedziała Wajdzino. — Jak się śni, że pije się woda świeżo, to na wielkie bogactwo, jak woda ciepło, to na choroby, a jak woda mętno, to na zgryzoty.

— Mnie się śniło, zech piła woda świeżo — łodpedziała Grządzielka, festelnie uradowano.

— No to piyknie się wom wyśniło, a teraz wciepcie te wasze jajca do moji zopaski — pedziała Wajdzino i nastawiła swój fartuch. Trzecio gospodyni przysła zamienić jajca na ziele.

— Jakie chcecie? — spytała Wajdzino.

— Dejcie miarka suchych kamelków.

— A wy, co byście chcieli? — zapytała czworto baba.

— Mom pierzynskie morzysko — łodpedziała i pokazała ręką na brzuch.

Wajdzino pomacała to miejsce, zajrzała ji do łoców i gęby i pado:

— Za dużo waszego chopa do łóżka wpuszczocie. Za pół roku przyszykujcie się na chrzciny.

Łodprowadziła gibko wszystkie baby, bo spodziywała się przyjście Stazyjki, kiero po niedługim czasie przyszła.

— Jużeś jest dziółcha? — to piyknie, łodezwała się i wsadziła w ręce Stazyjki bukiet zielo, taki som jaki dała Adamowi, potem pado dali. — We wtorek, to jest za dwa dni, bydzie w nocy pełny miesięczek. Jak bydzie się miało ku północce z wtorku na środa i stary Grychtolik piźnie zwonem dwanoście razy, musisz wyłyżć z doma, ale po cichu, i iść do laska łod stary Wróbliny ta drogą, co idzie między stawami. Jak miniesz stawy, to wlyż na ta wąsko ściyżka co leci bez te wydmuchowisko, kaj to rośnie ta wielko choina. W krzokach musisz się zeblyć do naga. Jak ino do się słyszeć sowie buczynie, schylisz się, wleziesz na ściyżka i pódziesz piętami do przodka i przez cały czas bydziesz ta ściyżka zamiatać tym ziele, kiere trzymosz, nie wolno ci nikaj patrzeć ani się łobrócić, ani stanąć, dopiyo jak rąbniesz łobydwoma twojymi półrzytkami ło coś miękkiego, wtedy dopiyo możesz wyprostować plecy i łobejrzyć, co to jest. Zap-miętej wszystko dziółcho!

— Zapamiętom, Wajdzinol Zapamiętom! — łodpedziała Stazyjka i poszła do dom.

We wtorek, jak ino zrobiło się ćma, Wajdzino zarygłowała wszystkie łokna i dźwierze i przed samom północką poszła do lasku stary Wrobimy. Wlazła w gęste krze i czekała. Zakurzyła se fajka, z kapsy wyciągła mało plaskówka z gorzołką i pociągła dwa szluki.

Zadowolona poklepała się po brzuchu.

Musza wom pedzić, że Wajdzino lubiła często gęsto popić i pokurzyć, a nojwięcy w ten czas, jak zrobiła jaki fajny interes.

Siedziwała i czekała aże stary Grychtolik, co kościelnym, łorganistą i zakrystianem był, nie piznął zwonem dwanoście razy.

Po jakimś czasie usłyszała, że ftoś idzie i z jedny i z drugi strony. Jak ino spomiarkowała, że ci co przyšli som już zebleczeni, przyłożyła ręce do gęby i zaskrzeczała jak sowa aże trzy razy.

Wtedy to na ściyżka wleźli z jedny strony Adam, a z drugi Stazyjka i szli w strona wysoki choiny, cały czas piętami do przodka.

Złotawy miesięczek dziwowoł się i patrzył, że cosik łokragłego tak jak łon som, ino przedzielone na pół, ruszo się po leśny ściyżce, ale łon, to znaczy ten miesięczek, nie wiedzioł, że to były półrzytki łod Adama i Stazyjki.

Naroz te łobydwa półrzytki spinkły się ze sobą.

Wajdzino, kiero schowała się za krzokiem, łobejrzała wszystko blank dokładnie. Jeszcze roz ciepła łokiem w to miejsce, a jak łobejrzała, że Adam ze Stazyjką ściskają się siarczyście i że potem przewrócili się na trowa, po cichu wylazła zza krza i polazła do dom. Przez cały czas gwizdała wesoło i zacierała ręce z uciechy.

— Nareście byda na swoim — godała sama do siebie.

Za dwa tydzie Adam ze Stazyjką dali na zapowiedzi, a po jakimś czasie wyprawili festelne wesele, na kierym Wajdzino była za starościna.

Z tego widzimy, że czasami szprytnym być nie zaszkodzi.

*Fragment książki Augustyna Feliksa Halotty
pt. „Śląskie bery, bojki i opowiadki z dawnych lat”
Wyd. „Śląsk” 1984.*